

Eksperyment

Copyright © by Zbigniew Ściubak, 2014

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-272-4198-6

grudzień 2012 - sierpień 2013, Lublin

1.

Czwartek, 17 marca 2033.

Wczesnym rankiem, ze spadającej pionowo do morza ciemnej grani, oderwało się kilka ptaków. Białe punkty. Wirujące. Wznosiły się, to opadały, wypełniając krzykiem stalowe niebo. Unosiły je głównie prądy powietrza. Czasem ptaki uderzały skrzydłami o niewidzialną przestrzeń, podrywając się wyżej albo korygując kierunek lotu. Niemal pionowe, poszarpane, czarne ściany skał były ich domem. Z wysokości wielu dziesiątek metrów, patrzyły stamtąd na kołyszącą się, pofałdowaną liniami fal, powierzchnię morza.

Ostre skały. Gdyby mieć dłoń wielkości okrętu, można by poranić o nie palce. Powietrze wysyczone było wilgocią, pomieszaną z krzykiem mew oraz wiecznym szumem oceanu. Pokochał to miejsce. Nawet ten ponury kolor nieba, który pod stalowosinymi chmurami, stwarzał scenerię oderwaną od rzeczywistości. Jakby miejsce, w którym był, w którym żył od trzech lat, było miejscem z innej planety. Czy będzie to ta sama planeta?

Fale w dole, łamały się białymi grzywami. Rytmicznie uderzały o skały, rozbryzgując swą pianę, jak próżne łyzy zawiedzionej miłości. Czy kochał? Czy miłość była prawdziwa? Czuł pod dłońmi chropowatą powierzchnię grani, na której siedział. Łagodne zejście, które prowadziło do tego miejsca, usłane było dywanem z mchów i porostów. Spojrzał w niebo. Skłębione chmury i gra odcieni szarości. Czy zawsze tu musi być chłodno?

Pięćdziesięcioletni mężczyzna o jasnych, całkowicie siwych włosach, zaczesanych w tradycyjny przedziałek, ubrany w solidne skórzane trzewiki, niebieskie dżinsy i także kurtkę, tyle że na futrzanej podpince, siedział na krawędzi skał. Jakby zawieszony w czasie i przestrzeni. Jego oczy były jasnoniebieskie. Twarz, wyrzeźbiona przez wiek i lata trudnego życia, była wyraźna, grubo i zdecydowanie ciosana. Ptaki, unoszone prądem powietrza, poszybowały tuż znad powierzchni morza ku górze i łagodnymi łukami zbliżały się do grani, na której mieściły się ich gniazda. Kilka z nich wylądowało. Jasne punkty na ciemnym tle bezkresnej, urwistej ściany.

Z tyłu za siedzącym mężczyzną, schodziła w dół kobieta. Miała pięćdziesiąt lat. Ponad metr siedemdziesiąt wzrostu i figurę, jakiej nie powstydziałaby się trzydziestolatka. Jej biodra, podobnie jak siedzącego mężczyzny, otulały tradycyjne dżinsy. Miała na sobie jasną, beżową, ocieplaną kurtkę. Usiadła obok mężczyzny. Odwrócił na chwilę w jej kierunku wzrok. Miała piegi na nosie i nieliczne na jasnych policzkach. Wydatne usta, szarozielone oczy i te rude włosy zaczesane w niewielki ogonek z tyłu głowy. Ten kolor zawsze go interesował, przyciągał. Był jak kolor słońca, zamknięty wokół jej twarzy, tak dobrze

mu znanej.

Daleko na horyzoncie pojawił się przemieszczający się punkt. Trudno było z tej odległości rozpoznać czy to statek, czy jacht turystyczny. Zdarzało się to rzadko. Bardzo rzadko. Wybrał to miejsce ze względu na odosobnienie. Izolację od kontaktów, brak relacji z ludźmi. Zrósł się z księżycowym krajobrazem. Cieszył się nielicznymi chwilami słońca, kiedy niebo zyskiwało głębię niezmierzonego błękitu, a morze nabierało życia i radości. Tak nie było dzisiaj. I nie będzie jutro. Ani pojutrze. Znał prognozy pogody. Będzie chłodno i pochmurnie. Temperatury w kwietniu, w tym miejscu Islandii, nie przekraczały czterech stopni Celsjusza. Dodatkowo ta szarość. Odetchnął głęboko.

Kobieta siedząca obok milczała. Nie miała powodu by się spieszyć, nagabywać go pytaniami. W ogóle nie mieli powodu, by się gdziekolwiek spieszyć. Już trzy lata przebywali w tym odludnym miejscu. Wszystko stało się inne. Proste. Oczywiście. Nie wymagające stawiania pytań ani tłumaczenia. Zresztą, on zrobił się milczący. Czyniła co mogła. Po prostu z nim była, towarzysząc mu jak teraz.

– O czym myślisz? – zapytała.

– Patrzę...

– Na co patrzysz?

Silny wiatr wiał im teraz prosto w twarz. Może powinna wziąć czapkę. Patrzyła na niego. Wiatr poruszał jego włosami, omywał jego twarz. Powędrowała za jego wzrokiem. Hen w oddali, po horyzoncie przesuwiał się punkt statku. Poczowała to wszystko. Wiatr, kołysanie, szum morza. Unoszenie się mew w powiewach powietrza. Twardość granitu, z którego zbudowana była przepastna grań naprzeciwko nich. Życie w morskiej toni, które gdzieś tam, kwitło nieustannie. Gdyby nie Golfstrom, klimat byłby tu znacznie ostrzejszy, a tak temperatura wahała się od minus dwóch w zimie, do blisko ośmiu stopni latem. Oczywiście w lipcu, w środku dnia bywało i dwadzieścia stopni. Kwitły wtedy kwiaty. Fioletowo. Nie znała ich nazwy. Nazwałaby je: „fioletem wśród zieleni”. Taka nazwa najlepiej oddawałaby to, z czym miała do czynienia. Teraz było inaczej. Pamiętała ich niedawną wycieczkę do doliny Fljótavatn. Wszechobejmującą szarość, wśród której jedynymi wyraźniejszymi akcentami, były płaszczyzny śniegu na czarnych, otaczających ich górach. Ciężkie niebo. Niewielkie oczko jeziora w kolorze rtęci. Islandia jest bardziej wyspą lawy niżli lodu. To właśnie brak gleby, a nie chłodny, lecz umiarkowany klimat, sprawiał, że bujniejszej roślinności było tak niewiele, a spore połacie porastał po prostu mech. Brak miejsca dla korzeni. Dla normalnego życia. Takiego jak gdzie indziej.

Mężczyzna wstał, otrząpął się, podał rękę kobiecie. Niebo, ciężko nachylone nad nimi, zapowiadało możliwość opadów. I tak, tutaj na północy było ich znacznie mniej niż na południu wyspy, gdzie nad masywem drugiego lodowca Europy, tworzyły się deszczowe chmury. Terenowe volvo stało, wiernie wyczekując. Uruchomił silnik. Z plasti-

kowych kratownic popłynęło cieplejsze powietrze do środka. Ruszył. Mogli przejechać wiele kilometrów i nie napotkać żadnych ludzi. Na wyspie, o wymiarach około pięćset na trzysta kilometrów, mieszkało trzysta tysięcy ludzi, z czego dwie trzecie w rejonie Rejkiawiku. Pozostała część lądu była wyludniona. Samochód kołysał się po bezdrożu. Miękki mech łagodził uderzenia nierówności terenu. Jeszcze kilka minut i auto wspięło się na wąską drogę. Zapalił światła. Jechali do domu. Czarne volvo przesuwalo się wśród trudnego dla ludzi i zwierząt terenu. Pracowicie, jak jak jakiś owad, sunęło po nitce drogi, pięło się wyżej, zakręcało, mijało łuk zatoki, by wreszcie ruszyć prosto, do położonej w otchłani pustego terenu, posiadłości. „Perłowa Zatoka” – taką nadał jej nazwę. Przystań w jego życiu.

Do szumu wiatru, stale obecnego w powietrzu, dołączył nowy dźwięk. Stalowszare chmury roniły łzy. Okna dwupiętrowego pałacyku witały ich żółtym, ciepłym kolorem oświetlenia. Na szybach samochodu osiadały krople deszczu. Włączył wycieraczki. Brama, ogrodzenia przed budynkiem, otwarła się automatycznie. Zatrzymał samochód tuż przed wejściem. Z drzwi wyszedł starszy, dystyngowany mężczyzna z wielkim, czarnym parasolem, który natychmiast rozłożył. Podeszedł do samochodu i otworzył drzwi od strony kobiety.

– Witam panią Ingrid.

Wyszła i lekkim uśmiechem przywitała Adama. Adam był ich służącym. I to nie od trzech lat, które spędzali w tym wybudowanym przez Patryka domu na Islandii, ale już od dwudziestu. Był bardziej przyjacielem niż służącym. Robił po prostu wszystko to, na co nie mieli czasu albo ochoty, służąc im dodatkowo jako towarzysz, a czasem nawet jako powiernik. Jego siedemdziesiąt jeden lat w niczym nie ujmowało bystrości umysłu i sprawności ciała. Stawał się za to uosobieniem dystynkcji i godności. Ale takiej ciepłej, bliskiej człowiekowi, nie tej wyniosłej, patrzącej na ludzi z góry.

Patryk wysiadł z drugiej strony i otworzył drzwi wejściowe. Powitało ich ciepłe wnętrze. Ciągłe jasne i przyjazne. W kominku, w rozległym salonie, paliły się polana drewna. Ogień lizał bierwiona, tańczył na nich taniec życia albo śmierci. Patrzyli nań później, siedząc na sofie pokrytej narzutą z owczej wełny. Drewniana podłoga była zasłana ciepłymi puszystymi futrami, po których przyjemnie było chodzić bosymi stopami. Było ciepło.

– Będziemy się dzisiaj kochać? – zapytał patrząc na nią. Na zarys jej nosa, ust, szyi. Na miękkość piersi i brzucha, na ciepło bioder, które tak kochał.

Wydawało mu się, że na jej ustach zagościł uśmiech. Przynajmniej przez chwilę. Wziął, ze stolika przed nimi, kieliszek z czerwonym winem. Podniósł go do ust. Smak. Ile można opowiedzieć o smaku, zmieścić w nim? Czym był jej smak? Czym, jeśli nie drogą do niewiadomego? Jeszcze raz popatrzył na jej twarz. W powietrzu rozlegał się cichy trzask pękających bierwion. Jej klatka piersiowa, otulona białym

swetrem, podnosiła się i opadała miarowym ruchem. Przymknął oczy. Czuł. Przez chwilę czuł to wszystko. To czego nie chciał opisywać ani nazywać słowami, kiedy byli razem.

Ingrid spokojnie patrzyła w palenisko. Ciepło ognia zdawało się odbijać na jasnej skórze jej twarzy. Zasłony wokół okien miały brązowo-złoty kolor. Za nimi siny, chłodny, północny świat. Poruszyła nogami. Włoski futra mile łaskotały podeszwy jej stóp. Patryk wstał. Skierował się do drzwi. Czy musiał pozbawiać się obrazu jej ciepła? Czy przeciwnie, miał w nim mieszkać, odnajdując echa spełnienia? Ruszył przed siebie.

– Idziesz na górę? – zapytała.

– Tak. Spotkamy się na obiedzie.

Wstała, skręciła w stronę swojego pokoju. Cóż mogła zrobić? Patryk pracował. Albo może raczej zajmował się swoim hobby. Właściwie, nigdy o nim jej nie opowiadał. Może nie była zainteresowana. A może przeciwnie, rozumiała go. Czekala. Pozwalała mu by był, taki jaki chciał być. By dzielił się z nią tym, czym chciał. Sobą.

2.

Na pierwszym piętrze Perłowej Zatoki mieścił się jego gabinet. Zajmował prawą część kondygnacji. W centrum znajdowała się biblioteka, z lewej strony ich sypialnia. Położył dłoń na kłamce. Niczym nie wyróżniająca się, staroświecka w wyglądzie, czytała wszystkie możliwe parametry, charakterystyczne dla skóry jego dłoni. Porównywała je z wzorcem. Porównywała je z ostatnim pomiarem. Nie tylko zarys i kształt, ale również głębokość, wzajemne położenie, skład chemiczny naskórka i szereg innych danych. Zamek ustąpił z cichym kliknięciem. Wszedł do środka.

Gabinet zajmował około stu metrów kwadratowych. Nie był duży jak na jego warunki, ale nie potrzebował większego. Okno wychodziło na zatokę. Zajmowało większość frontowej ściany. Tafle szyb łączyło delikatne obrysowanie metalowych łączników. Staroświecko. Teraz już nikt takich nie robił, przezroczyste płaszczyzny zastępowały ściany, otwierając wnętrza na świat. Szyby w jego oknie jednakże miały te własności, że potrafiły w dowolnym stopniu zmniejszać przepuszczalność światła, potrafiły też stać się ekranem, na którym mógł oglądać co tylko chciał. Nie chciał. Podeszedł do biurka stojącego na środku gabinetu, ustawione było lewym bokiem w stronę okna. Gdy siadał, zapaliła się lampka. Na zewnątrz było pochmurno. Ruchem dłoni, wykonanym w powietrzu, uruchomił przekaźnik. Nad blatem biurka pojawił się przestrzenny kolorowy obraz. W delikatnie wibrującym soczystą zielenią obszarze pojawiły się wielobarwne elementy. Otworzył relację z bieżącego strumienia wiadomości. Ułożone w dwa rzędy, trzy w górnym i tyleż w dolnym, sześciany, pokazywały skondensowany przekaz głównych kanałów informacyjnych. Kolor obrazowania każdego sześcianu sygnalizował zasadniczą wymowę aktualnego przekazu i zestawu informacji. Pulsująca czerwień – konflikty, głównie wojenne i międzynarodowe. Purpura przechodząca w fiolet – przemoc cywilna. Kolor czarny to budowanie poczucia zagrożenia. Zieleń – świat polityki dającej nadzieję masom. Bezbarwne były wiadomości nie kształtujące emocji. Bezwartościowy zbiór informacji, z którego nic nie wynikało dla odbiorców, ale który skomponowany był w celu wywołania wrażenia, że właśnie informuje o czymś ważnym. Typowa konsumpcja czasu i uwagi ludzi. Właśnie zobaczył swoją twarz. Powiększył drobnym gestem sześcian, tak iż zajął on całą przestrzeń nad biurkiem.

Jego twarz, sylwetka. Komentarz atrakcyjnej dziennikarki. Jej poważne oczy. Zdecydowane usta. Ujęcia Islandii z powietrza. Najbogatszy człowiek świata nadal przebywa na dobrowolnym wygnaniu, odmawiając komentarzy i wywiadów. Historia jego dojścia do majątku. W pięciu zdaniach. Migawki z wcześniejszego życia. Kiedy był gwiazdą przyćmiewającą wszystkie inne. Tytanem gospodarki, nadzie-

ją ekonomii, architektem przyszłości. Pozwolił oczom jeszcze na kilkanaście sekund tego obrazu. Zamknął sześcian. Podniósł się. Lampka, usiłując odgadnąć jego nastrój, wyłączyła się dyskretnie. Podszedł do okna. Uśmiechnął się. Jego oczy tonęły w szarości. Szybowały w przestrzeni, potykając się o pozbawiony kolorów grunt spadający ku morzu. Dalej, falujący bezmiar oceanu pod ciężkimi ciemnymi chmurami. Gestem przełączył dźwięk z zewnątrz. Usłyszał szum. Wiatru i morza. O czym śpiewało morze? Co takiego słyszeli tu ludzie od setek i tysięcy lat? Czy zawsze taki śpiew można nazwać? Wyrazić. Czy może wystarczy go doświadczyć, pozostawiając jego treść morzu - niedopowiedzianą, czekającą.

Stał w bezruchu. Kontemplował. Rzeczywistość. Ostatnio coraz częściej mu się to zdarzało. Obcowanie z rzeczywistością. Surową jak tutaj na Islandii. Czasem bezwzględna, czasem drapieżnie żywą jak granitowe klify usłane krzyczącymi mewami. Usłyszał sygnał komunikatora, nadchodzące połączenie. Stamtąd... Odwrócił się i siadając na kozetce, zezwolił na przekaz. Naprzeciwko niego ukazała się podobna kozetka, z kobietą siedzącą na niej z założonymi na siebie nogami. Biała bluzka, czarna spódnica, niezwykle czerwone usta, ramiona rozciągnięte na oparciu za jej plecami. Jej wzrok był dumny, jakby przyzwyczajony do wydawania poleceń, do wyrażania woli, która miała być wykonana. Twarz piękna, lecz nieco zimna, jakże inna niż Ingrid. Wyglądała na trzydzieści lat. Miała czterdzieści dwa. Patryk ją dobrze znał.

Vivien nic nie mówiła, przypatrując mu się bez słowa albo, może dokładniej można by powiedzieć, przypatrując się jego obrazowi, generowanemu w miejscu, z którego z nim się teraz łączyła.

– Widzę, że masz się dobrze.

Nie odpowiedział. Jej zgrabne nogi przesunęły się i zamieniły miejscami. Przełożyła kolana, delikatnie poruszając ustami.

– Musimy grać tę komedię? – zapytała.

– Nie.

– Patryk... Przecież wiesz.

– Wiem coraz mniej.

– Wiesz, że zależy mi na tobie. To znaczy, nam... zależy.

Pamiętał. Niestety pamiętał ją dobrze. Była jak islandzki wulkan. Zimna z zewnątrz i płonąca dzikim pożądaniem przy zbliżeniu. To był jeden z błędów jakie popełnił w życiu. Ale przecież postanowił zerwać z nimi nieodwołalnie, co w efekcie mogło się przełożyć na jego ostatni, największy błąd.

– Ponieważ widzę, że nie masz ochoty na normalną rozmowę, więc przejdę do rzeczy – kontynuowała.

Lepiej późno niż wcale – pomyślał, nie odzywając się nadal.

– Dziś wczesną nocą odlatuje z Rejkiawiku nasz ostatni samolot.

– Zapodział wam się.

– Dobrze wiesz, że się nie zapodział. Zresztą, niech będzie jak

chcesz. Mniejsza o to. Nie zostawiamy swoich.

– To przeszłość.

– To może być przyszłość.

Patryk Lindqvist przez pewien czas się nie odzywał. Nie miał nic do powiedzenia. Zerwał wszelkie liny, spalił wszystkie mosty.

– Więc to już? – zapytał w końcu.

– Jutro rano proces zostanie uruchomiony a grodzie zamknięte.

– Przekraczacie Rubikon.

– Daj spokój.

– Przepraszam. Bardziej pasowałoby powiedzieć: Styks.

– Patryk. Byłeś w pierwszym szeregu. Przestań chrząć, wsiadaj w helikopter. Jak chcesz, to zabierz Ingrid. Leć do Rejkiawiku. Czy to nie jest proste?

– A potem?

– A potem będziesz z nami.

Uśmiechnął się lekko i pokręcił głową.

– Jesteście szaleni.

– Twoja ostateczna odpowiedź? – Ton Vivien nabrał stanowczości.

– Jesteś piękną kobietą.

– Wiem – odpowiedziała krótko. – Twoja ostateczna odpowiedź?

– Przecież wam mówiłem. To szaleństwo. Albo znacznie gorzej. Zostanę tu, poczekam.

Usta Vivien zaczęły lekko drżeć. Spuściła na chwilę wzrok.

– Wielka szkoda Patryku. Będzie mi ciebie brakowało.

– Vivien... – Chciał powiedzieć coś, co by ją dotknęło. Coś w stylu: „szkoda, że mi ciebie nie będzie brakowało” albo coś podobnego.

– Vivien – westchnął – czasem zastanawiam się nad fatum. Nad tym, czy gdzieś, ktoś nie przewidział, nie zapisał albo nie postanowił, wszystkich absurdów i desperacji, które stają się naszym udziałem.

– Robisz się romantyczny.

– Nie. Staram się chodzić po ziemi. Póki czas.

– Patryk, twoje ostatnie słowo. Pamiętaj. Jutro nawet dla nas będzie za późno, aby ci pomóc.

Uśmiechnął się. Tym razem swobodnie. Niewymuszenie. Wszystko przemyślał. Przeżył. I choć nie znał odpowiedzi na pojawiające się właśnie pytania, to nawet ten brak go nie martwił.

– Chyba powiem. Do niezobaczenia.

Vivien patrzyła przez chwilę w jego oczy. Jakby nie mogła się pogodzić z tym, że coś jednak nie idzie po jej myśli, zgodnie ze ścieżką jaką wytyczała jej wola, jej pragnienie.

– Szkoda. Ale trzeba żyć dalej.

– Vivien.

– Tak?

– Po raz ostatni. Czy Kapituła wzięła pod uwagę, to co mówiłem? Czy... – zawahał się i zrezygnował.

– Tak, tak, tak. Przecież mówiłam ci. Wszystkie nasze zasoby po-

twierdząc, że nie masz racji. Orzekli, że blefujesz. Dlaczego to robisz?

– Ty też w to wierzysz?

– A komu mam wierzyć? Tobie? Ekscentrykowi, który mógłby mieć na świecie co tylko zapragnie. Mógłby mieć mnie, mógłby mieć cały świat i zamiast tego wybiera przegraną? Powiedz, komu ja mam wierzyć?

– Wierz sobie.

– Wierzę sobie. W pewien sposób mi przykro. Ale to minie. Rozmawiam z tobą, bo prosili mnie o to.

– Wiem.

– Więc wiesz, że to naprawdę koniec.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Tyle, że wy jej sobie nie zdajecie.

– Żegnaj.

Podniosła się i podeszła w jego stronę. Patrzył na nią siedząc. Pokręcił głową. Nie wstał. Obraz zgasł. Zrobiło się cicho. Przymknął oczy. Znow słyszał wiatr. Nieustanny wiatr, sunący ponad nierównym poszarpanym terenem wyspy. Spadający nad bezmiar oceanu. Unoszący ptaki i łamiący grzywy fal. Chciał być tym wiatrem. Mknąć nad ziemią, patrzeć z góry na porozrzucane z rzadka ludzkie domostwa, z ich ostrymi dachami, z oknami, z których ciemną porą wyglądało złotym kolorem ciepło. Chciał pędzić ku szczytom, poszarpanym stokom, na których leżał śnieg. Chciał spływać nad lodowcem ku Rejkjavikowi. Jedyne duże skupisko ludzi na wyspie. By pędzić dalej, bez czasu i pamięci, ku kolejnym brzegom, drzewom, lasom. Dlaczego na Islandii nie było lasów? Gleba. Chciał skraplać chmury, nieść je, by dawały życie suchej ziemi.

Otworzył oczy. Wsunął dłonie do kieszeni. Napiał ramiona. Więc jutro na wszystko będzie już za późno. Odetchnął głęboko. Milczał.

3.

Poniedziałek, 15 czerwca 2015.

James Calahan raptownie wcisnął pedał hamulca, jednocześnie od-
ruchowo przechylając się w prawo. Gwałtowny manewr rzucił jego
ciałem, wciskając jego lewy bark w obręcz kierownicy. Seria poci-
sków wyrzuconych z broni maszynowej, przeszła szybę nad nim, za-
mieniając jej tafłę w spadający deszcz odłamków szkła. Samochód
uderzył w fasadę jednego z domów. Nagłym, ale płynnym ruchem
otworzył drzwi i wypadł na zewnątrz, tocząc się po po bruku. Jedno-
cześnie wydobył swojego glocka 19 i w trakcie obrotów ciała po jezd-
ni, zaczął strzelać w kierunku faceta, który zza pojemnika na śmieci
oddął w jego kierunku salwę z broni automatycznej.

Napastnik pochylił się i chwilę później jego ciało bezwładnie wy-
sunęło się zza kontenera na śmieci. Calahan gwałtownie przetoczył się
w kierunku swojego rozbitego samochodu, używając go jako osłony.
Nie był ranny. Te skurwysyny robiły się coraz bardziej bezczelne.
Strzelać do policjanta. Czy to było wcześniej do pomyślenia? Radio
wewnątrz skrzeczało wezwaniami, by się odezwał. Chwilowo nie
mógł podejść do mikrofonu. Głupia sytuacja. Sytuacja jakich wiele
w jego zawodzie.

Wychylił się zza auta. Ulica zdawała się wymarła. Pusta nić jezdni,
chodniki i linie przytulonych do siebie dwupiętrowych budynków. Z
drzwi jednego z nich wypadła ciemna postać i zaczęła biec w kierun-
ku najbliższego załomu. Oddał dwa strzały. Nie trafił. Sięgnął do wną-
trza samochodu, chwycił radio:

– Potrzebne wsparcie! Skrzyżowanie czwartej i szesnastej. Jeden
napastnik ranny, możliwe że nie żyje. – Odłożył mikrofon.

Nie miał ochoty ścigać uciekającego. Mógł się narazić na głupią
kulę, która wystrzelona z drżących rąk, pokonując opór powietrza, a
następnie jego koszuli, skóry, wierzchniej warstwy mięśni, mogła zna-
leźć drogę do jego serca. Wpaść tam nieproszona i narobić szalonego
bałaganu. Wywołać chaos, który mógłby się skończyć tylko w jeden
sposób. Ciemnością, która zastąpiłaby światło jakim było jego życie.
Nie dzisiaj. Nie teraz. Tego nie żądało od niego jego wykształcenie.
Tego nie nakazywał mu jego rozsądek. Pola śmierci usłane są bohate-
rami. On po prostu wykonywał swoją pracę.

Usłyszał sygnał. Dwa radiowozy z tyłu, migając światłami na da-
chach, wyhamowały tuż obok niego. Wskoczyli z nich umundurowa-
ni policjanci. Jego koledzy.

– Nic ci nie jest? – pytał Johnson, zastępca szefa.

– W porządku. Jeden gość spieprzył za ten najbliższy róg w prawo.
Drugi chyba się potknął o jedną z moich kul – wskazał wzrokiem syl-
wetkę czarnoskórego mężczyzny, wynurzającą się niczym niekształtna

kałuża zza stojącego nieopodal kontenera na śmieci. – Dostałem cynk na melinę. Myślałem, że to lipa, wiesz... sprawdzałem.

– Na drugi raz bierz kumpla i wsparcie od razu. Nie robimy nalo-tów w pojedynkę. – Oczywiście Johnsona wyrażały jednocześnie troskę i irytację. Dlaczego do cholery jego ludzie wciąż strugają kowboi? Kto w tym cholernym świecie dba jeszcze o takich? Czy to takie trudne do pojęcia, że wszystko czego oczekuje się od człowieka, to przestrzega-nie procedur?

Z ulicy skracającej w prawo rozległy się odgłosy policyjnych sy-gnałów i strzałów z broni. Wkrótce wszystko ucichło. Johnson odebrał meldunek przez radio.

– Mają go.

W międzyczasie z położonego po prawej stronie budynku, z które-go wypadł wcześniej uciekinier, wyszli policjanci, niosąc plastikowe skrzynki wypełnione woreczkami z białym proszkiem. Calahan pod-szedł do nich. Sięgnął w stronę substancji.

– Miałeś rację.

– Cholerne dragi – przyznał.

– Wracaj. Nic tu po tobie. Mogłeś zginąć. Jutro napiszesz raport.

– Johnson nie oczekiwał na potwierdzenie. Wydał polecenie i zajął się resztą.

Calahan rozejrzał się.

– Chyba będę potrzebował nowe auto.

– Weź na razie Franka. Jutro coś zorganizujemy. – Kolejny wyda-tek nie był zaplanowany w tym roku budżetowym i Johnson wiedział to najlepiej.

Calahan zaparkował auto Franka przed swoim domem. Siedem-dziesiąta piąta w Village Heaven, numer 256. Wszedł do wnętrza. Spokój. Spokój i miły chłód. Teraz dopiero dotarła do niego tempera-tura panująca na zewnątrz. Poczuł pot, jakim spłynął wskutek czter-dziestostopniowego upału i napięcia spowodowanego przez tego dur-nia z pistoletem automatycznym. Podeszedł do zlewozmywaka. Nalał chłodnej wody do szklanki. Podniósł do ust. Jakże to cholera niehigie-niczne. Pić wodę prosto z kranu. Jakże to życie jest cholera niehigie-niczne. Rzucił marynarkę na oparcie krzesła i opadł na sofę. Wycią-gnął nogi, położył głowę. Cholerny dzień. Uspokajał się. Wstał. Wyjął z lodówki piwo. Otworzył. Ze zdjęcia, stojącego na blacie biurka, pa-trzyły na niego oczy Ani. Uśmiechnął się. Starszy inspektor James Ca-lahan miał w życiu jeden skarb. Dziewięcioletnią córkę. Zagryzł war-gi. Przez jego twarz przemknął cień bólu. Gdyby tylko... Gdyby tylko mogła być taka jak kiedyś. Taka jak na tym zdjęciu.

Ania miała ciemne, kasztanowe włosy, piwne oczy i ten cudowny, rozpuszczający każde serce, uśmiech. Ale to zdjęcie było czarno białe tak jak jego rzeczywistość. Od dwóch lat w psychice Ani zaczęły za-chodzić zmiany. Początkowo łagodne, później znacznie intensywniej-

sze. Traciła zainteresowanie i kontakt z rzeczywistością. Zaczęło się pozornie niewinnie. Nawet niemal pozytywnie. Ania zaczęła objawiać zdumiewające zdolności matematyczne. Najpierw otrzymywał sygnały od nauczycielki, pełne uznania. Potem z jej oczu wyczytywał lęk. Ania знаła rozwiązania zadań matematycznych wcześniej, aniżeli było to możliwe do przeliczenia dla normalnego człowieka. Właściwie znała je niemal natychmiast. Jednocześnie traciła kontakt z nim, z otoczeniem, z bliskimi. Teraz była razem z rodzicami Thelmy, jego nieżyjącej żony. Czy to z tego powodu? Czy to z powodu odejścia Thelmy, Ania odeszła w świat liczb? Łyki piwa spływały mu przez gardło, chłodząc jego wnętrze i próbując chłodzić jego myśli.

Thelma, przeniósł wzrok na zdjęcie żony. Tyle lat. Już pięć. Ciągłe ją pamiętał. Nie tak jak pamięta się kogoś, kogo nie ma. Ale tak jak pamięta się kogoś, kto jest. Oczekuje się, że wyjdzie na spotkanie. Myśli się, że pewnie śniadanie będzie zrobione, albo znowu będą kłopoty, bo nabałaganił niemożliwie. Ale Thelma nie wracała. Rozmawiał nawet jeden raz na ten temat z psychologiem. Dostał poradę, by rozdziały w życiu zamykać. By otwierać nowe. Nie wychodziło mu. Nie potrafił zamknąć tego rozdziału. Choć zdawał sobie sprawę, że czepianie się przeszłości do niczego nie prowadzi i nic mu nie przynosi. Cholerne życie. On, trzydziestotrzyletni mężczyzna, okaz zdrowia i tężyzny fizycznej, zaszywał się poza pracą w czterech ścianach, tęsknił do wspomnienia o kobiecie, której już nie było i do córki, która oddalała się od niego z każdym dniem.

To nic. Ania wróci za kilka dni. Jak będą dalej żyć? Jak zapewni jej opiekę? Usiadł na sofie. Założył nogę na nogę. Zamknął oczy. Lecące w jego kierunku kule, schnący pot na plecach, dotyk skóropodobnej wykładziny sofy na policzku, to wszystko zabierało go w sen, który był mu potrzebny, żeby jakoś znieść to życie.